

Kiedy James Hillager po raz pierwszy zobaczył gigantyczną pijawkę, myślał, że ma halucynacje.

W dżungli na Borneo było gorąco i wilgotno niczym w tureckiej łaźni. Ubranie miał zupełnie przemoczone, a wilgoć w powietrzu powodowała, że pot nie parował: kapał mu z palców i nosa albo spływał po ciele, gromadząc się tam, gdzie tkanina dotykała skóry. W butach miał tyle wody, że chlupotała przy każdym kroku. Jeśli tak dalej pójdzie, materiał przegnije w ciągu kilku tygodni. Nigdy jeszcze nie czuł się tak udręczony i nieszczęśliwy jak teraz.

Od upału kręciło mu się w głowie, z tych właśnie powodów – i dlatego, że był odwodniony i od wielu dni marnie się odżywiał – pomyślał, że ma zwidy. Od pewnego czasu w koronach drzew słyszał jakieś głosy: szepczące głosy, które rozmawiały o nim, naigrzając się z niego. Część jego umysłu mówiła mu, że to tylko szelest wiatru w listowiu, ale inna część miała ochotę wrzasnąć do nich, żeby się zamknęły. A potem je zastrzelić, jeśli nie posłuchają.

Widział już wcześniej zwierzęta, które wprawiały go w osłupienie. Może były rzeczywiste, a może też były zwidami. Widział małpy o wielkich bulwiastych nosach, żaby wielkości kciuka, w kolorze jaskrawopomarańczowym, czerwonym albo niebieskim, coś, co wyglądało dokładnie jak dorosły słoń, tyle że sięgało mu do ramion, i podobne do świni stworzenie o ciemnej sierści i długim, spiczastym, elastycznym pysku. Ile spośród nich było prawdziwych, a ile stanowiło wytwór jego rozgorączkowanego umysłu?

Obok niego Will Gimson zatrzymał się i pochylił, z rękami na kolanach, biorąc wielkie hausty wilgotnego powietrza.

– Muszę stanąć na minutkę – wydyszał. – Ledwo idę.

Hillager wykorzystał to, żeby otrzeć czoło chusteczką, i tak bardziej mokną niż jego twarz. Może ma halucynacje, ponieważ dopadła go jakaś tropikalna gorączka. W tych lasach na Borneo szerzyły się dziwne choroby. Słyszał o ludziach, którzy tygodniami błakali się po dżungli, a gdy wracali, wrzody pokrywały ich twarze albo ciało dosłownie odchodziło od kości.

Rozejrzał się nerwowo. Nawet te drzewa zdawały się z niego kpić. Z ich poskręcanych i sękatych pni wyrastały, niczym pasożyty, mniejsze rośliny i pnącza. Rosły tak gęsto, że przesłaniały niebo, a na dół dochodziło tylko rozproszone, zielonkawe światło.

Mimo gorąca dygotał. Nie byłoby go w tym strasznym miejscu, gdyby nie to, że swojego pracodawcy bał się jeszcze bardziej.

– Wracajmy już. – Nie chciał tu być ani chwili dłużej. Pragnął tylko dostać się z powrotem do portu, załadować klatki ze schwytanymi zwierzętami i wrócić do cywilizacji. – To nie tutaj. Złapaliśmy już dość zwierząt, żeby go zadowolić. On nawet nie zauważy.

– Zauważy ani chybi – odparł Gimson ponuro. – Zależy mu właśnie na tym jednym stworzeniu.

Hillager już miał zacząć się z nim sprzeczać, kiedy Gimson dodał:

– Czeka! Chyba je widzę!

Hillager podszedł do kolegi. Ten wciąż stał pochylony, ale patrzył na korzenie jednego z drzew.

– Spójrz – powiedział, wskazując ręką.

Hillager podążył wzrokiem za jego palcem. Tam, w sadzawce między dwoma korzeniami, znajdowało się coś, co wyglądało jak wielki czerwony skrzep krwi rozmiaru jego dłoni. Połyskiwało w słabym świetle słońca.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Duke twierdził, że to tak właśnie będzie wyglądać. Dokładnie tak.

– Więc co robimy?

Zamiast odpowiedzieć, Gimson wyciągnął rękę i ujął to coś w palce. Podniósł. Zwisano bezwładnie. Hillager patrzył zafascynowany.

– Tak – oznajmił Gimson, odwracając to i przyglądając się bacznie. – Zobacz: tu jest otwór gębowy albo przyssawka, czy jak to się tam zwie. Trzy zęby umieszczone na krawędzi. Na drugim końcu też ma przyssawkę. Właśnie tak się trzyma – przyczepia się oboma końcami.

– I wysysa krew – dodał posępnie Hillager.

– I wysysa krew każdego zwierzęcia, które przechodzi na tyle wolno, że zdąży się przyczepić – wyjaśnił Gimson. – Te małe słonie, te stworzenia ze spiczastym pyskiem podobne do tapira – cokolwiek.

Pijawka tymczasem na ich oczach zmieniała kształt, robiła się coraz cieńsza i dłuższa. Kiedy Gimson ją podniósł, była niemal okrągła, ale teraz przypominała raczej grubą dżdżownicę. Wciąż zaciskał palce na mniej więcej jednej trzeciej długości od głowy – jeśli kawałek z otworem gębowym można nazwać głową.

– Co on z nimi robi? – zapytał Hillager. – Dlaczego wysyła po nie ludzi tak daleko?

– Mówi, że słyszy, jak wołają do niego – odparł Gimson. – A jeśli chodzi o to, co z nimi robi – naprawdę wolałbyś nie wiedzieć. – Pochylił się nad stworzeniem, by przyjrzeć mu się uważnie. Pijawka wiała się na oślep w jego stronę, czując w pobliżu ciepłą krew.

– Chyba jest głodna.

– Skąd wiesz?

– Szuka czegoś, do czego mogłaby się przyssać.

– Może powinniśmy ją zostawić? – zaproponował Hillager. – I poszukać jutro innej?

Miał nadzieję, że Gimson się nie zgodzi, bo naprawdę nie chciał być ani chwili dłużej w tej dżungli.

– To pierwsza, jaką widzieliśmy od tygodni – przypomniał mu Gimson. – Nie wiadomo, kiedy znajdziemy następną. Nie, musimy wziąć tę. Musimy dowieźć ją do domu.

– Ale czy przeżyje podróż?

Gimson wzruszył ramionami.

– Pewnie tak – jeśli ją przedtem nakarmimy.

– Okej. – Hillager się rozejrzył. – Co proponujesz? Małpę? Jedno z tych stworzeń podobnych do świni?

Gimson nie odpowiedział.

Hillager odwrócił się i zobaczył, że towarzysz wpatruje się w niego z osobliwym wyrazem twarzy. Jego mina wyrażała współczucie, ale głównie niesmak.

– Proponuję – oświadczył Gimson – żebyś podwinął rękaw.

– Oszalałeś? – wyszeptał Hillager.

– Nie, ja jestem tropicielem i przewodnikiem – wyjaśnił Gimson. – A ty myślałeś, że jaką rolę odgrywasz w tej ekspedycji? No już, podwijaj. To paskudztwo potrzebuje krwi, i to szybko.

Wiedząc, jak zareagowałby Duke, gdyby się dowiedział, że pozwolił pijawce umrzeć, zamiast ją nakarmić, Hillager zaczął powoli podwijać rękaw.